ROZMAITOŚCI.

Dnia 31. Stycznia. № 5. **Roku 1855.**

WIOSKA.

Sceny wiejskie z pism Oktawa Feuillet.

(Dokończenie. Ob. Nr. 1. 2. 3. 4. Rozmaitości.)

(W sieni słychać zgiełk i kłótnię).

Pani **Dupuis** *(przestraszona).*

Mój Boże! coż tam takiego?... To on! to głos Jerzego.

(Jerzy Dupuis otwiéra drzwi z łoskotem i wchodzi, za nim Maryanna).

Dupuis *(do Maryanny).*

Niezgrabna jesteś! milcz! Myślał-by kto, że ten kufer z bielizną waży sto cetnarów! *(Do żony).* Wyobraź sobie moja luba, ta głupia dziewczyna wlecze walizę po schodach, jak gdyby jéj niemogła udźwignąć.

Maryanna.

Bo odkąd Jegomość powiedział, że jedzie do Rzymu, to ja już nieczuję ani rąk ani nóg! już mi sił niestaje. Jechać do Rzymu! dalibóg, to coś nowego!

Dupuis.

To czysta waryatka!... A coż tobie do tego?

Maryanna.

Mnie, nic. — Ale to przecież się niegodzi zostawiać Jejmość samą, i jechać do Rzymu! Jejmość się tu zagryzie!.. Ja za nic nieręczę...

Dupuis *(wstrzymując się).*

Maryanno, uważaj! widzisz, że nie żartuję!

Maryanna.

A widzę, widzę. Jegomość się gniewa na drugich, bo sam z siebie Jegomość nie jest kontent.

Dupuis *(w złości).*

Niemasz u mnie miejsca! Won!

Pani **Dupuis** *(surowo).*

Idźże zaraz, słyszysz?

Dupuis.

Precz mi z domu! Toby mi się podobało! — Ani jednéj chwili niezawadzaj mi tutaj.

(Maryanna wychodzi).

Dupuis *(do żony).*

To także twoja wina w tém, moja kochana. Psujesz sługi, przypuszczasz ich do niepotrzebnéj poufałości, — to są skutki! Słyszałaś, żem odprawił tę dziewczynę?

Pani **Dupuis.**

Słyszałam, moje życie. — Jutro rano obrachuję się z nią, jeżeli niecofniesz swego wyroku.

Dupuis.

O, tego niemyśl! Czy to mój zwyczaj zmieniać zdanie co pięć minut? Coż to czy jestem chorągiewką, alboż już tak jestem osłabiony starością, żebym sobie dał grać na nosie moim służącym?

Pani **Dupuis.**

Jeżeli mi co dobrego życzysz, mój kochany, przestań już mówić o tém; jutro odejdzie ze służby. *(Mówi prędko)*. Ale chciałabym wiedzieć, mój Jerzy, czy masz wszystko czego ci potrzeba. Pozwól mi zaglądnąć trochę do téj walizy. Wy mężczyźni nieznacie się na tém tak dobrze. Czasem zabraknie bagatelki a humor popsuje się na cały dzień... Prawda że można kupić czego niestaje, ale na co niepotrzebnych wydatków?... *(Wesoło)*. Zresztą ile razy otworzysz walizę w podróży, przypomniesz sobie mimowolnie twoją żonę, mój ty włóczęgo!

Dupuis.

Dobrze, moje dziecko. Oto masz klucze.

(Pani Dupuis odchodzi).

Dupuis, Rouviére.

Dupuis, *(zmieniając ton i fizyognomię, gdy żona wyszła)*

Powiedz-że mi bracie, zdaje się że to wcale źle nieprzyjęła?

Rouviére, *(poważnie)*.

Ale jak najlepiéj. — Powiem ci Jerzy, że masz dobrą, poczciwą żonę.

Dupuis, *(patrząc na niego z uwagą)*.

A co? — Nieprawdaż?

Rouviére.

Jest zbytecznie skromna, dlatego na piérwszy rzut oka nierobi wielkiego wrażenia.

Dupuis.

Co to, to prawda.... bała się ciebie... Ale ręczę, że poznawszy ją bliżéj, zmieniłeś twe zdanie o niéj.

Rouviére.

Tak jest w saméj rzeczy. Pod wpływem wzruszenia, — muszę ci bowiem powiedzieć, że zrazu była tknięta do żywego, — okazała serce tak szlachetne... żem się zdumiał.

Dupuis.

O! że ma szlachetne serce, to nic pewniejszego!

Rouviére.

I to nietylko serce, ale i rozum mogę powiedzieć niepospolity, jeżeli tego potrzeba!

Dupuis *(uszczęśliwiony)*.

Alboż-to dla mnie co nowego, kochany przyjacielu? wszakże i ja nie w ciemię bity, nieprawdaż? Czy byłbym się z nią żenił, gdybym w niéj niebył upatrzył tych zalet serca i umysłu?.. I mogę ci powiedzieć szczérze i sumiennie kochany Tomaszu, że szczęśliwy jestem z mego wyboru i nietylko szczęśliwy ale nawet dumny!.. Ma ona swoje wady... wiem ja to lepiéj niż ktokolwiek; ale Bogiem a prawdą, coż znaczą te powierzchowne usterki przeciw prawidłom obyczajów salonowych, naprzykład jéj trochę szorstkie obejście, mowa niewykwintna, nawyknienia parafiańskie, — kiedy obok tych skaz widzisz w kobiécie przywiązanie stałe i pełne poświęcenia, umysł prawy i uległy, — pobożność szczérą i cichą... słowem wszystkie cnoty które zdolne są ująć poczciwego człowieka....

Rouvière *(śmiejąc się klaszcze go po ramieniu).*

Dobrze mówisz bracie! Wiem o co ci idzie!.. no dobrze.. dobrze.

Dupuis.

Jakto?

Rouvière.

A tak! zakończenie twéj mowy jest dość jasne: rozważywszy rzecz bliżéj, oceniwszy dokładnie wartość skarbu, jaki posiadasz w domu, — namyśliłeś się inaczéj i niechcesz go porzucać. Słowem, chcesz żebym jechał sam... Zresztą, rzecz naturalna.

Dupuis.

Ale zaręczam ci, kochany Tomaszu....

Rouvière.

Dajmy temu pokój... ja to pojmuję bardzo dobrze.

Dupuis *(z niechęcią).*

A ja ci powiadam, że źle pojmujesz.... Niezapominam ja ani na chwilę o przymiotach méj żony; ale chociażby była aniołem dobroci i świętobliwości, to jednak rzecz pewna, że dotychczas żyłem jak ślimak w skorupie! A zresztą jéj cnoty będą miały dla mnie większą nierównie wartość, jeżeli mnie w obec nich niebędzie gnębić uczucie mego umysłowego poniżenia!

Rouvière *(śmiejąc się).*

Doprawdy bawisz mię twojém umysłowem poniżeniem.

Dupuis.

Przed chwilą nieśmiałeś się, kiedyś mi to poniżenie skréślał w tak żywych kolorach.

Rouvière.

Jakto? niepoznałeś się na żarcie?... Wszyscy ludzie światli co się zasiedzą na wsi, myślą, że się stają bałwanami.— Przeczuwałem u ciebie tę manię, i chciałem się z tobą podrażnić zwłaszcza przy kieliszku!

Dupuis.

Mów co ci się podoba, ja niecofnę mego postanowienia: mogłem się wahać chwilę, ale to już minęło. Wyznaję, żem się obawiał, ażeby mój wyjazd niezrobił zbyt przykrego wrażenia na umyśle méj żony; ale teraz, kiedy widzę, że się z tém zgadza, niemam już najmniejszego skrupułu.

Rouvière.

Słuchaj kochany Jerzy; zbyt wiele ufasz pozorom: byle się tobie niesprzeciwiać, udaje twoja żona stałość charakteru, co rzeczywiście przechodzi jéj siłę. Ja bym sądził, bracie..

Dupuis *(w złości).*

Ty byś sądził!.... Ty sądzisz, że ja bym ci niepotrzebnie zawadzał w podróży, więc lepiéj żebym został w domu, to cała rzecz!

Rouvière.

Ależ mój Jerzy!.... to małe nieporozumienie, — nic więcéj. Z twéj mowy wnosiłem szczérze, żeś zmienił zdanie... Sądziłem, że uprzedzę twe życzenia uwalniając cię od danego słowa .. ale kiedy trwasz w twém postanowieniu, to tém lepiéj; robisz mi największą przyjemność.

Maryanna *(otwierając drzwi).*

Już zajechał!

(Zamyka drzwi z trzaskiem).

Rouvière.

Brrr... ta widzę rozdarłaby mnie gdyby mogła. No, więc zbierajmy się. *(Bierze na siebie płaszcz i wybija[no-*

gami po posadzce). Ale ale.. miałem coś mówić!... jeżeli się niemylę to ty podobnoś niemożesz spać w powozie, co?

Dupuis.

Bardzo przepraszam! owszem śpię jak zabity.

Rouviére.

Tém ci lepiéj.. Ja sądzę, że możemy ruszać?.. Czy to okno wychodzi na ulicę? *(Otwiera okno i zamyka je natychmiast).* Ha! co za przenikający wicher!.. na wskróś człowieka przeszywa!... A tu jak na to, jedna szyba w moim powozie stłuczona... boję się, że się przeziębisz.

Dupuis *(zarzucając na siebie futro).*

Niemasz się czego obawiać; ja wytrwały na zimno jak Lapończyk.

Rouviére.

Tak?.. To wyśmienicie!...

(Bije dziewiąta. Pani Dupuis wchodzi niosąc szal).

Pani **Dupuis**, *(głosem przerywanym i wzruszonym).*

Wszystko już gotowe. Tu masz twoje klucze moje życie. Zrobiłam ci porządek w walizie, a tutaj, rozcięłam mój stary szal, żebyś miał czém obwiązać szyję.

Dupuis.

Niepotrzebne rzeczy! przecinać drogi szal!.. No, już się stało, dawaj; ale to wcale niepotrzebne.

Pani **Dupuis.**

A tu druga połowa dla Pana, Panie Tomaszu.

Rouviére.

Dla mnie? *(Wpatruje się w nią z zdziwieniem).* Dziękuję Pani Dobrodziejce, całuję rączki.

Pani **Dupuis.**

Niezapominaj Pan o swém przyrzeczeniu. *(Rouviére się kłania, i nagle się odwraca).* A ty Jerzy pisuj, szczególnie do córki!

Dupuis.

Będę pisywał często, — i do ciebie także.

(Zasuwa czapkę na oczy).

Rouviére. *(Grzeje sobie nogi i przewraca z roztargnieniem kartki w kalendarzu leżącym na kominku; nagle się odwraca i woła):*

Dwunasty stycznia!... Czy doprawdy dziś mamy dwunastego stycznia!

Pani **Dupuis.**

A tak, — zdaje mi się... Coż to za dzień? 12. stycznia?

Rouviére.

O, to rocznica dla mnie pamiętna.. Właśnie dziś pięć lat, — o tym samym czasie i prawie o téj godzinie przebyłem próbę, która mi nie tak prędko wyjdzie z pamięci...

Dupuis.

Jaką próbę? Czy jaki przypadek?

Rouviére.

Nie. Po prostu byłem chory, — i to chory w domu zajezdnym, co wcale nie jest miłą rzeczą.

Dupuis *(obojetnie).*

Ludzie chorują wszędzie.

Rouviére.

Nic pewniejszego; ale przyznasz, że nie jest rzeczą obojętną gdzie człek choruje a nawet gdzie go śmierć może zaskoczyć.

Dupuis.

Ha! śmierć zawsze jest śmiercią.

Rouviére.

Tak sądzisz?... Niewiem czybyś był tego zdania będąc na mojém miejscu....

Dupuis.

I jakże to było?

Rouviére.

Działo się to w Peschiera nad jeziorem Garda, okolica zresztą piękna... będziemy tamtędy przejeżdżać, to ci pokażę ten dom... Otoż tam musiałem się zatrzymać, zapadłem bowiem na jakąś szkaradną gorączkę. Piérwsze ośm dni wszystko szło dobrze; leżałem bez przytomności niewiedząc nic o bożym świecie; ale pewnego wieczora — właśnie dwunastego stycznia o tym czasie, — ocknąłem się nagle z uczuciem niewypowiedzianéj trwogi i osłabienia, a oraz z tém dziwném przekonaniem, że koniec mój już się zbliża. Wierzaj mi bracie, przebyłem w mojém życiu niejedną straszną przygodę — i przypominam je sobie, mogę powiedziéć, z przyjemnością; ale gdy sobie przypomnę ową chwilę ocknienia mego w téj nędznéj izbie zajezdnego domu, — zimny dreszcz mnie przechodzi.

(Maryanna wchodzi; i na znak Pani Dupuis staje u drzwi).

Dupuis *(zbliżając się).*

I coż takiego widziałeś w téj izbie?

Rouviére.

W istocie, nic nadzwyczajnego. — Ludzi, którzy sądzili jak ja, że mi się już niewiele należy, starą babę i młodego lekarza, którzy coś szeptali w kącie, księdza klęczącego u mego łóżka. Ale cały ten obraz żałobny ujęty w ramy spłowiałych firanek i obdartych mebli zajezdnego domu, nie zrobił na mnie tak strasznego wrażenia, jak raczéj zimna obojętność, która mnie otaczała, to opuszczenie jakie czułem w chwili zbliżającego się zgonu mego. — Niemogłem mówić; ale... ta scena stoi mi zawsze przed oczyma!... oglądałem się jak żebrak na wszystkie strony, chciałem przymocować do jakiego miłego przedmiotu to życie, które mi się wyrywało z piersi, śledziłem na tych obojętnych twarzach z upragnieniem znaku udziału a przynajmniéj litości, chciałem znaleść choćby jeden przedmiot, coby mi przemówił do serca... choć jedną pamiątkę coby mnie ukołysała do snu ostatniego, choć jedną istotę znajomą, coby się pożegnała ze mną! — Wszystko mi było obce.

Dupuis, *(ponuro i opryskliwie).*

Ha! Śmierć nigdy nie jest miłą przygodą! W téj chwili przesilenia przykro jest widzieć się opuszczonym, niema co mówić, ale może przykrzéj jeszcze patrzéć na smutek i żal rozpaczającéj rodziny, otaczających przyjacioł.

Rouviére *(zasępiony).*

Tak sądzisz?... Co do mnie bracie, umierać tak jak większa część ludzi umiera, umierać żałowanym i opłakanym od swoich, wydawało mi się szczęściem w porównaniu z mojém samotném konaniem owéj nocy, wierzcie mi państwo, dziwne myśli snuły mi się po głowie!... *(Uderza się w czoło).* Jakże, czy jesteś gotów?

Dupuis.

Na twoje usługi... I jakież to myśli mogłeś mieć?

Rouviére.

Oto, szczérze mówiąc, z dumnego stałem się pokornym; piérwszy raz w życiu żałowałem, żem sobie obrał sposób życia odrębny... Prawdziwa księga życia otworzyła się nagle przed memi oczy-

ma, i na każdéj kartce czytałem, napisane ręką boską słowa: *Powinność i poświęcenie!* Odepchnąłem od siebie tę ustawę pospolitą; upatrywałem w niéj tylko zapory: luboć z dobrodziejstw jéj żyłem; unikałem jéj więzów goniąc za niezawisłością, a znalazłem tylko wieczne tułactwo; sądziłem, że idąc własnym torem opływać będę w szczęściu, jakiego tłum nie zna, i cóż zyskałem?... Oto młodość bez miłości, — starość bez podpory, — śmierć bez łez!... *(Z przyciskiem).* Wtedy to, kochany bracie, wtedy poznałem, jak drogo Bogu opłacić trzeba egoizm!

Dupuis.

I proszę cię, jak długo zostawałeś w tym stanie?

Rouvière.

O, dość długo, by mi wiecznie pozostał w pamięci... Ów młody lekarz widząc, że wzrok mój utkwiłem w nim, przystąpił do mego łóżka i uczułem jak się ramienia mego dotknął swą ręką zimną, obojętną jak jego serce. Odepchnąłem go od siebie i zamknąłem oczy. — Widziałem umierającego ojca mego; przypomniałem sobie nagle i tak jasno jak gdyby we śnie magnetycznym, wszystkich którzy go otaczali w téj ostatniéj chwili, wszystkich sług domowych, sędziwego lekarza i księdza o białych jak śnieg włosach, którzy obadwa byli przyjaciołmi jego od dzieciństwa, nakoniec moją matkę, moją dobrą poczciwą matkę, wszyscy nad nim stali nachyleni, wszyscy uśmiechali się do niego luboć ze łzami w oku i z żalem w sercu, osładzali mu chwilę skonania, tak jak uprzyjemniali całe jego życie! Te myśli, ten żywy obraz przed memi oczyma wstrząsł całém mojém jestestwem, serce moje luboć wyschłe, zalało się łzami... *(Z głębokiém wzruszeniem).* To mnie ocaliło.

(Postępuje kilka kroków z miejsca. Pani Dupuis stojąc przy kominie wsparta na ramieniu, odwraca oczy).

Dupuis *(zmięszany).*

Te wspomnienia robią na tobie zbyt smutne wrażenie, kochany Tomaszu!

Rouvière *(głosem przytłumionym).*

Tak jest, — bardzo smutne!... a wszystko co tutaj widzę, nawet urządzenie tego pokoju, obudza je... i podnieca! *(Mówiąc sam do siebie).* Wszystkie te dawniejsze pomieszkania podobne do siebie... wszystko to widziałem w méj piérwszéj... w najszczęśliwszéj mojéj młodości... Przy oknie, tak jak tutaj, stał stolik z robotą przy którym znajdowałem matkę moją, ile razy przyjeżdżałem na ferye do domu; przy kominie wielkie krzesło z poręczami mego ojca, z którego wstawał, by mnie uściskać; na ścianach, portrety familijne stróże pokoju i honoru domowego; wszędzie jak tutaj widoczny wątek dwóch egzystencyi ściśle połączonych... skojarzonych na zawsze!... Widzę ich dziś jeszcze.... Powinienem był czerpać naukę z ich przykładu... ale nie, musiałem dźwigać po całym świecie znudzenie mego oderwanego życia i nieustanną katuszę zapoznanego obowiązku, — nim pojąłem, że oni byli szczęśliwi!... A oni sami czyliż wiedzieli o tém?... Ileż-to razy słyszałem, jak mój ojciec pozazdraszczał mi gorzkich przyjemności, których miałem używać? ileż-to razy byłem świadkiem lub powiernikiem ich żalów, ich skarg, ich utyskiwań? Biedni staruszkowie! — a jednak żyć bez siebie niemogli.

Dupuis.

Drogi przyjacielu!

Rouvière *(mocno wzruszony).*

A ja, cóż uczyniłem? zaledwie ten dom osamotniał, sprzedałem go!.. Tak jest sprzedałem ten przybytek szczęścia i spokoju!... Pokój w którym przyszedłem

na świat, okno przy którém pracowała moja matka, gdzie po raz piérwszy ujźrzałem światło słoneczne, wszystkie te tradycye, całą tę wierną przyjaźń méj rodzinnéj ziemi — wszystko sprzedałem! — Co więcéj... sprzedałem ojcowiznę... zamknąłem się na zawsze w ciasném kole mego egoizmu... tak że dziś nawet ponętą dziedzictwa niemogę na starość zjednać sobie choć skłamanego przywiązania.... Niestety! Dziś niemogę nawet odkupić ten skromny domek wiejski, gdziebym mógł mniéj samotnie przepędzić ostatnie dnie mego żywota i umrzéć kochany przynajmniéj od cieniów.... *(Z uniesieniem)*. No jakże! jedziemy?

Dupuis *(rozrzewniony chwyta go za rękę)*.

Pojedziemy Tomaszu, pojedziemy — jeżeli niezechcesz przyjąć na zawsze wmym skromnym domku rodzinnym miejsce przyjaciela, — miejsce brata. *(Do żony)*. A ty nie płacz moja duszo.... zapomnij o téj godzinie niewdzięczności .. piérwszy to raz w mém życiu... ale i ostatni.

Pani **Dupuis** *(rzucając mu się na szyję)*.

Mój Jerzy! *(Biegnie do Rouviéra który się im przypatruje ze łzami w oczach)*. O Panie Tomaszu, gdybyś chciał mieć udział w tém szczęściu, które dziś Panu zawdzięczamy, z jakąż radością czuwalibyśmy nad jego utrzymaniem!

Rouviére *(wahając się)*.

Pani Dobrodziejko!... moi przyjaciele!.... Ach Jerzy, z prawdą niema co żartować... Złapałem się jak dziecko w siatkę, którą na ciebie zastawiałem. *(Siada, jak gdyby w omdleniu: Jerzy i żona jego przystępują do niego błagając wzrokiem. Po chwili mówi z cicha)*. Słodki to zaiste sen dla samotnego tułacza!...

Pani **Dupuis** *(składając ręce w zachwyceniu)*.

On zostanie z nami!

Maryanna *(stojąca w kącie ociéra łzy z oczu)*.

Pościelę Panu łóżko w pięknym niebieskim pokoju, czy Jejmość każe?

(Biegnie ku drzwiom).

Rouviére *(zrywa się nagle)*.

Héj Maryanno! wstrzymaj twój zapał!

Maryanna.

Zrobię jak mi kazano!

Rouviére.

Więc dobrze, dobrze! tylko proszę cię moja panno, żeby mi nogi niebyły wyżéj jak głowa!... Łóżko powinno być od głów spadziste ale nie więcéj jak na pół łokcia, rozumiesz? a potem Maryanno niech Bóg chroni... *(Przerywa nagle, wstrząsa głową uśmiechając się i dodaje łagodnie)*. Rób jak myślisz, Maryanno, jestem przekonany, że będzie dobrze. *(Maryanna odchodzi)*. Widzicie państwo, zawsze ten przeklęty egoizm we mnie się odzywa... ale wy mnie oduczycie tych narowów... Dzięki Bogu! przecież raz odpocznę trochę. *(Siada)*. Chciéj Pani wyświadczyć mi wielką łaskę... Znam ja z doświadczenia przykrości wygnania.... przywołaj Pani swego kota!

Dla czego Bocian *tak* chodzi.

Wzorek z tegoczesnéj literatury powieściarskiéj.

Na szczycie jednéj skały w Tatrach gnieździł się Orzeł z Orzeliną i panną Orzelanką ukochaną jedynaczką swoją.

Panienka już dorastała, czas było za mąż i z ochotą poszłaby była, tylko że Orzelańskich nie było w sąsiedztwie.

Wiedzieli o tém pewny Bocian młody z naddachu stodoły chłopskiéj, i jakiś Puhacz mieszkaniec zapadłego klasztoru na Tyńcu. Obydwa ubiegali się o względy Orzelanki, radzi wejść w związki małżeńskie.

Raz tedy Bocian wytrzepia skrzydła na czysto, wyciera dziób i umywa nogi, że wyglądały jak korale i leci pod wieczór do Orła. Właśnie siedzieli Orzeł z córeczką u stołu i spożywali sarninę; przyjął i Bocian ucztę gdy

go proszono, po obiedzie otarł dziób w serwetę, dodał sobie otuchy, i oświadczył się ojcu o rękę — źle mówię: o dzióbek Orzelanki.

Ojciec zawrócił oczyma i rzekł: wcalem się tego niespodziewał, a luboć podchlebnie dla mnie, winienem atoli okazać różnicę, na co i córka moja się zgodzi.

Najprzód wiedzieć potrzeba, że orły w herbach chodzą, rodzili się nawet kilka dni wprzódy niż Adam, a bociany chociaż także nie ze śmiecia, gnieżdżą się tylko po chałupach chłopskich. Z tém wszystkiém to mniejsza, kto ma rozum tego nie patrzy; ale przyzwoitości nikt nie powinien ubliżać, i moja córka za Szkota nigdy nie pójdzie; nie mogłaby się z nim pokazać w towarzystwo dobrego tonu u Orzelańskich. Jako ojciec sprzeciwić się muszę takiemu zamęściu, a córka moja pewnie na to się zgadza, gdyż wychowana była w zasadach najskrupulatniejszéj przyzwoitości.

To mówiąc rzucił wzrokiem na córkę, a córka z przechywieniem główki wyszczebiotała: prawda Tateczku!

Proszę sobie wyobrazić co bocianowi się działo, kiedy dostał od kosza.

Ale ojciec mówił daléj: A starał się tu z sąsiedztwa także syn pani Sowy Puhaczyk, i przyznać muszę, że mi się panicz wcale podoba, ma gust, nosi się zupełnie według ostatniéj mody, w oponach po same kostki. A chociaż z duszy bym rad wydać córkę moją za Tynieczana, bo ród jego od wieków ów klasztor posiada, ma jednak wielką przywarę: niestatek, ma pasye arystokratyczne, dnie przesypia a hula po całych nocach. I dlatego i jemu nie mogę oddać mojéj jedynaczki.

Ojciec jeszcze mówić nie skończył, gdy wyszedł właśnie młody pan Puhacz z apartamentów swoich, usiadł na dachu klasztornym, ziwnął i obejźrzał się, czy téż to nudne słońce jeszcze nie zaszło; a widać po nim było, że wstał dopiéro.

Bocian zmierzył z oddalenia strój puhaczowy, jak mu pierze ładniutko po same paznogcie ponarastało, spojźrzał potem po sobie i musiał sam przyznać, że ubior puhacza był powabniejszy.

Więc kiedy to ma być z pańska, mówi, i w modzie, tedy łatwa będzie i dla mnie przywdziać pokrowce, i jestem do usług.

A jeźli tak, powiada Orzeł, pomówimy o tém; i Bocian oświadczył, że jutro o saméj dziesiątéj zrana, przechadzać się będzie w nowym stroju po łące, pan Orzeł z Orzelanką niech raczą się przypatrywać ze skały.

Zgoda! i Bocian pożegnał Orzelańskich swoim sposobem i odleciał. Ale zaraz tego samego dnia jeszcze zachodzi drogę swemu gospodarzowi u którego mieszkał i prosi, czy by mu nie pożyczył coś od nagości.

Hola! źle! bocianom wstyd siebie. Sadzić opaszki na badyle, chyba chcesz wróble płoszyć! Ale dał się wreszcie uprosić, przyniósł pokrowce szerokie, i mówi: tylko przestrzegam na błota nie łaź, bo możesz poplamić, a to są z mego synka.

Bocian rad że ma, zaczął przymierzać, opinać, przechadzać się, zawadzało coś prawda, ale powiedział sobie: mógł człowiek do żab, mogę ja przyzwyczaić się do jego spodni.

Nazajutrz siedzieli Orzeł z Orzelanką na krawędziu skały i wyglądali ciekawie bociana. Dziesiąta! Bocian idzie.

Ach mamo-ż moja, jak ten bocian wygląda! wszak-to na nim jak wór z kartoflami! mówi Orzelanka; — do tego jeszcze że się bocianowi pod nogami plątało, zadzierał nogi, aż się Orzelańscy zachodzili od śmiechu.

Co jeszcze się stało, a o czém bocian ani myślał: żabska ze nie widywały nigdy bociana w oponach, więc w żarty, kwa-kwa-kwa, i włazić mu między pokrowce gdy tylko na łąkę wstąpił; a miały schowek dobry przed dziobem, więc szydziły bezpiecznie. Bociana złości brały, a tu ani rady, do tego i wstyd przybył gdy zobaczył, że panna Orzelanka ze skały patrzy, więc sobie pomyślał, trzeba przynajmniéj honor ocalić. Więc nogi jeszcze wyżéj zadzierać, więc łapciami strzepywać, więc kolankami potrząsać, ażeby żaby spadały, a to sie jeszcze śmieszniéj robiło, bo co spadnie która żaba, to pod stopami woda zachlupnie i bryzgnie wyżéj oczu, że się jeszcze większego nabawił wstydu, więc chyłkiem czapli się za skałę i nie odetchnął, aż cisnął strojem, do którego się nie urodził. Za skałą jeszcze zaleciał go śmiech Orzelanki jak wołała:

Rada-by dusza do nieba, ale grzechy nie puszczają.

Tego już było za nadto; wyrzeka się konkurów, i jeszcze tego samego wieczora wybrał się do Egiptu, a chłopi mówili, będzie już zima, ostatni Bocian odleciał.

Ale od tego czasu Bocian *tak* chodzi.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*